

— To jest mały Walter Fredeking, którego mam na wychowaniu.

— Bardzo dobrze, — Walter Fredeking, — właśnie o niego nam chodzi. Mamy rozkaz wziąć chłopca pod naszą opiekę. Jest on synem barona Wolfarn. Pani uda się z nami, gdyż na policyi sprawdzimy potrzebne nam wiadomości.

— Chcecie mi odebrać mego wychowanka? Nigdy, tego wam nie wolno! Kto daje wam to prawo? Ja nie jestem tą, której szukacie. Jesteście na fałszywym tropie.

— Proszę więc udać się z nami do urzędu policyjnego, tam się wszystko wyjaśni.

— Na to nie mam czasu, ani ochoty. Muszę zaraz wyszukać mego męża, — ja...

— Głupia kobieto, — szepnął jej kapitan. — Niech pani się nie opiera, to nic pani nie pomoże. Trzeba pogodzić się z koniecznością. Jeśli panią spotyka krzywda, to wnet się sprawa wyjaśni.

Stara kobieta rzuciła ukradkiem ku swej pani spojrzenie, wołające o pomoc. Ta, cała drżąc, napróżno spodziewała się, że jej dzielna służąca ujdzie ramienia prawa. Wreszcie ścisnęła silnie ramię doktora i szepnęła wzbudzona:

— Nie mogę już dłużej biernie się zachowywać, panie doktorze, muszę jej pomóc.

Zdecydowana na wszystko weszła w małe kółko.

— Przepraszam panów — zwróciła się do urzędnika — przypadkowo znam tę starą kobietę jeszcze z Berlina. Ona na prawdę jest tą, za którą się podaje. Dziecko oddano jej na wychowanie. Prawdopodobnie zaszła tutaj pomyłka.

Prawdziwie nadludzką siłą opanowała się Marga. Lekkie drżenie jej głosu nie mogło zwracać specjalnej uwagi, ze względu na okoliczności obecnej chwili.

Policyjant spojrzał zdziwiony i z pewnym zachwytem na mówiącą.

— Pani zna tę kobietę? Kto pani jest, mylady?

— Ja jestem...

Koniec jej odpowiedzi został nagle przerwany niespodziewanym wypadkiem. Mały rentier Gelbke, który dotychczas jako bierny słuchacz przypatrywał się, stojąc wśród pasażerów, całemu zająci, nagle odsunął kilka osób, przed nim stojących i dwoma krokami znalazł się przed policyjantami.

— To jest żona zmarłego barona Wolfarn.

Słowa te rzucił, jak nagłe uderzenie piorunu, w małe kółeczko, które zdumiało się.

Wszystkie oczy zwróciły się na młodą kobietę. Marga zbladła śmiertelnie, ale stała dumnie i odważnie w pośrodku. Robiła wrażenie śmiertelnie kulą rannego człowieka, który jednak tłumi w sobie ból i przerażenie, aby znaleźć siłę na zatajenie swej śmiertelnej rany.

Silną wolą wytrzymała badawcze spojrzenie urzędnika.

— Czy pani przyznaje się do tego nazwiska? — zapytał tenże.

Odpowiedziała dowcipnym wybiegiem:

— Kto to utrzymuje, nie zna mnie wcale. Spotkałam go dopiero tu na okręcie.

Gelbke roześmiał się ironicznie. Cały jego wygląd zmienił się nagle. Pochyliła głowa podniosła się, uprzejmie oczy błyszczały tryumfująco. Zerwał także siwą brodę, którą z całym spokojem rzucił obecnie do morza. Stary pan zamienił się nagle w młodego człowieka.

— Ma się rozumieć, że ją znam — podkreślił dobitnie. — Jestem tajnym detektywem Lüdik z Berlina i miałem rozkaz brata zmarłego barona Wolfarn, aby śledzić za porwanym dzieckiem. Mam tu fotografię pani Wolfarn, ale z pierwszych czasów jej małżeństwa. Miała wtedy dopiero siedemnaście lat i wyglądała bardzo dziecinnie, tak, że prawie niemożliwym jest za pomocą tej fotografii dać zupełny dowód jej tożsamości. W czasie naszej podróży nabyłem jednak silnego przekonania, że nie myślę się w osobie. Nie tylko bowiem odnosiła się z wielką miłości do dziecka, ale także ono nazywało ją „mama“, podczas, gdy na swą opiekunkę mówiło wyraźnie „Ana“. Ana znaczy w języku dziecka tyle

co Alma, a takie właśnie jest imię kucharki pani baronowej, dawnej służącej ich domu, która przy niej przebywała i na jej rozkaz dziecko uprowadziła.

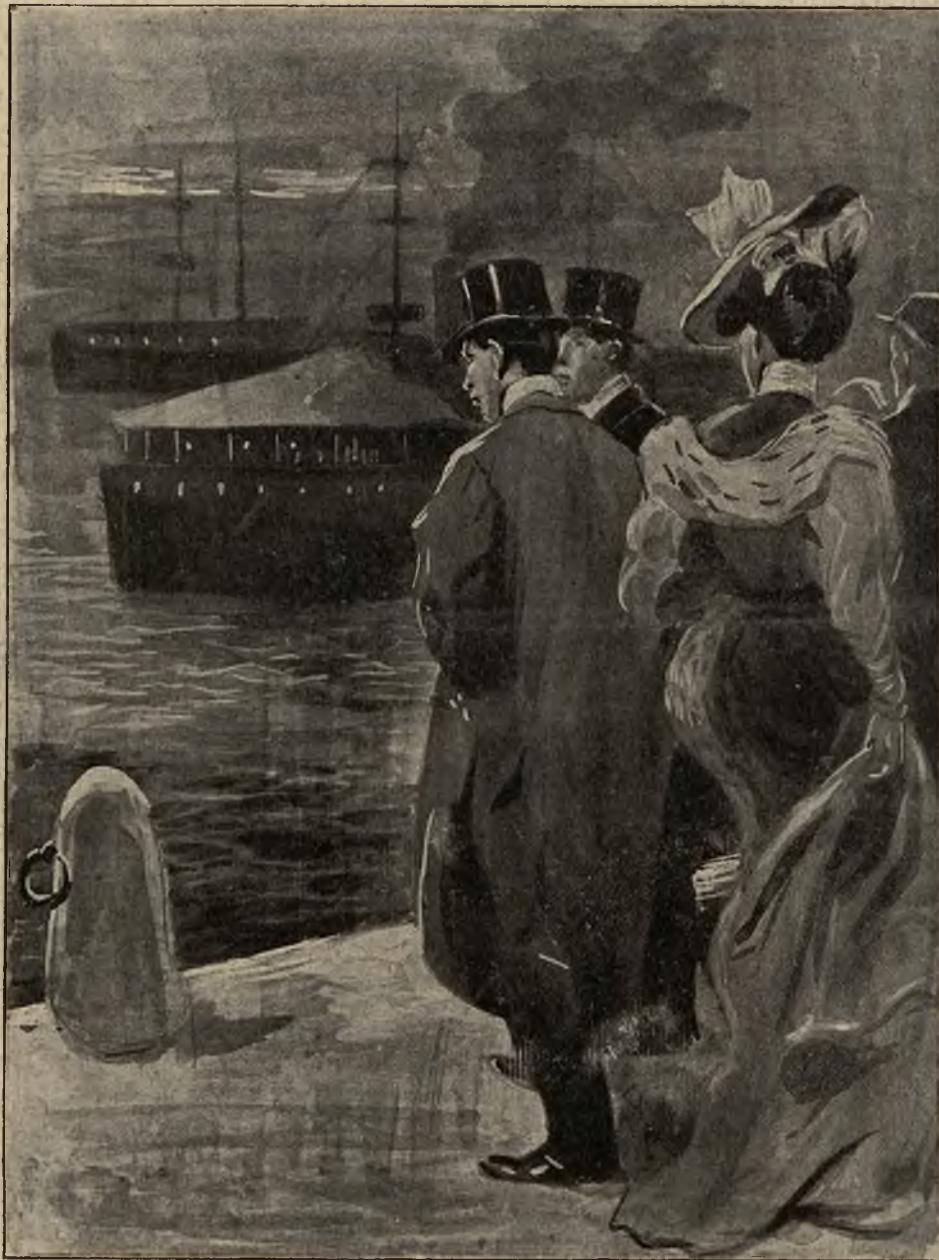
— Co pani odpowie na te zarzuty, milady? — zwrócił się do niej urzędnik.

— Człowiek ten fantazyjuje — zaprotestowała młoda kobieta ze ściśniętą obawą sercem.

— W każdym razie nie mogę pytania tego tu roztrząsać, proszę państwa udać się za mną.

Doktor Burger rozmawiał po cichu na uboczu z adwokatem Ammarellem, opowiedział mu całą sprawę i prosił go, aby się nią zajął, mimo, iż z góry była do przewidzenia przegrana. Dr. Ammarell, pełen wdzięczności dla młodej kobiety za jej odwagę, przedstawił się urzędnikowi, wylegitymował i starał się dowodami prawniczymi przekonać go o niesłuszności jego postępowania.

— Pan przekracza swój zakres działania, jeśli pan tak dalej będzie postępował, — dowodził stanowczo. — Anglia jest państwem wolnym, a przede wszystkim wolność osobista doznaje u niej spe-



Niecierpliwie patrzył na zbliżający się okręt.

cialnej opieki prawa. Pan nie może tylko na podstawie przypuszczeń i na świadectwo jednego człowieka, który nie umie nawet dać dostatecznych dowodów, wkraczać gwałtem w prawa osobiste osób prywatnych. Czyż ten pan — Gelbke czy Lüdik, — nie przyznał sam, że ta dama nie podobna jest do rzekomej swej fotografii. Gdyby nawet była ona z czasów jej młodości, to przecież ta pani nie zmieniła się znowu tak bardzo w kilku latach, aby ją nie było można poznać. Pokaż pan tę fotografię, panie Lüdik!

Detektyw wyjął fotografię z portfela i podał ją urzędnikowi. Ten badał ją z miną wielkiego powątpiewania, spoglądając raz na oryginał, to znowu na fotografię. Lüdik miał rację; było podobieństwo, ale nie wystarczało ono, aby mózgiem stanowczo rozstrzygnąć kwestię tożsamości.

— Pani baronowa, — bronił detektyw swej sprawy, — była wtedy bardzo nierozwinięta, drobna i o rysach dosyć ostrych. Fotografia utrudnia sprawę o tyle, że przedstawia panią z profilu, a właśnie profil najwięcej się zmienił.

Urzędnik policyjny zaczął się wahać. Zbadał jeszcze raz papiery i legitymacje adwokata, poczem zaczął szeptać coś ze swym kolegą.

— Kto właściwie panów tu wezwał? — wypytawał adwokat.

— Ja telegrafowałem do urzędu policyjnego, — oświadczył detektyw za nich. — Biorę całą odpowiedzialność za postępowanie tych panów na siebie. Nie dajcie się panowie w błąd wprowadzić. Manipulacje tych panów idą w tym kierunku, aby ułatwić matce ucieczkę z dzieckiem.

— Panie! — rzucił się adwokat oburzony. — Jak pan śmie? Pan odważa się obrażać takich ludzi, jak ja i dr. Burger i próbuje pan urzędnika skłonić do nadużycia władzy urzędowej!

Policyjanci stali niezdecydowani, — fałszywe postąpienie mogło spowodować dla nich nagane, albo nawet coś gorszego. Detektyw ocenił krytyczność sytuacji.

— Tam na brzegu czeka baron Wolfarn osobiście, — zawołał nagle uradowany. — Teraz się wszystko wyjaśni. Z Cherbourg telegrafowałem do policyi w Liverpoolu, jak i do niego, który szukał zbiegów w Hawrze. Do Cherbourg byłby się spóźnił, ale do Liverpoolu przybył wcześniej, niż my.

A więc, pani baronowa, czy pani będzie jeszcze zaprzeczać?

W śmiertelnej trwodze zwróciło się spojrzenie Margi ku lądowi. Okręt był już bardzo blisko brzegu, a zapadająca noc nie zciemniła jeszcze zupełnie światła, tak, że można było dokładnie rozróżnić osoby, które na brzegu oczekiwały przybycia okrętu.

Wśród stojących wyróżniał się wysoki, elegancko ubrany pan, który stał nad samą wodą i niecierpliwie patrzył na zbliżający się okręt. Zachowanie jego było spokojne i wyniosłe.

Głośny okrzyk boleści wydarł się z jej ust; detektyw mówił prawdę! Tam stał człowiek, którego nienawidziła i zarazem się bała. Był to elegancki i przystojny mężczyzna, chociaż twarz jego zdradzała, że prowadzi życie rozwiazłe. Wysoki, w całym swym zachowaniu się zdradzał gentelmana. Oczy jego ciemno niebieskie, miały jednak pewien ironiczny wyraz, który wskazywał na wielką oziębłość serca.

Dumnie stał na wybrzeżu, a kiedy poczuł na sobie spojrzenie swej szwagrowej, pozdrowił ją ironicznie.

— Za późno, za późno! — zawołała nieszczęśliwa, tracąc panowanie nad sobą. — To on, nie trudźcie się już panowie, sprawa już jest przegrana. O moje dziecko, mój mały, kochany, nieszczęśliwy Rudolf!

Rzuciła się ku służącej, porwała dziecko na ręce i przytuliła je z wybuchem namiętności do piersi.

— Spróbujcie mi go porwać! — krzyknęła, pokonana wzburzeniem. — Raczej rzucę się z nim do morza, nim wydam go z moich rąk.

— Proszę uważać! — ostrzegł detektyw. — W zapamiętaniu zdolna jest do tego!

Doktor Burger i adwokat Ammarell nadbiegli natychmiast, aby młodą kobietę uspokoić.

— Proszę mnie puścić! — łkała konwulsyjnie. — To moje dziecko, moje dziecko! Nikt go tak nie kocha, jak ja, tylko nienawidzić i łotrństwo chce mi je ukraść!

Okręt tymczasem przybił do brzegu. Baron Wolfarn wszedł na pokład. Rozmówił się krótko z obu przedstawicielami władzy, potem ten urzędnik, który mówił przedtem po niemiecku, wskazał na młodą kobietę z dzieckiem i zapytał:

— Czy to to dziecko, panie baronie?

— Tak, to, — odpowiedział baron, rzucając na płaczącą kobietę niepewne spojrzenie.

— Proszę wydać nam dziecko, mylady, przecież nic pani nie pomoże — inaczej musielibyśmy użyć przemocy.

— Niech pani ustąpi przed siłą, — tłómaczył jej dr. Ammarell. Może znajdziemy inny sposób, aby pani znowu dziecko powrócić. Niech pani uniknie skandalu.

— Ach! co mnie skandal obchodzi!? — wybuchnęła w gniewie. — Za wybranie gniazda ptaka nazywacie surowe kary, a nie cofacie się przed tem, aby matce odebrać to, co ma najdroższego.

(Ciąg dalszy nastąpi).